ZOFIA HOFFMAN

Komendantka plutonu Zofia Hoffmanowa, rok ur. 1905, wyznanie rzymskokatolickie, zamężna.

Wywieziono mnie w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku wraz z matką Włodzimierą Neuhoff, z mieszkania matki we Lwowie przy ul. Zadwórzańskiej 69. Na liście wywożonych figurowało nazwisko mojej 18-miesięcznej córki, którą w ostatniej chwili udało mi się ocalić i powierzyć opiece rodziny.

Przyczyny wysiedlenia nie podano, ograniczając się jedynie do wzmianki, iż jadę do męża, internowanego wraz z grupą oficerów we Lwowie 22 września 1939 i wywiezionego do Starobielska.

Z rzeczy pozwolono zabrać mnie i matce po 50 kilogramów. Mieszkanie po opuszczeniu opieczętowano.

Wywóz był zorganizowany i wykonany z precyzją, wskazującą na niezwykłą wprost technikę w tego rodzaju przedsięwzięciach. Warunki jazdy ciężkie. Pod eskortą, w zamkniętych wagonach towarowych stłoczono po 30 do 40 osób, bez różnicy płci i wieku. Urządzenia higieniczne prymitywne, właściwie żadne. W wagonie znajdowały się: dr Janina Pilatowa z teściową, Karolina Zbrożkowa, Mikołaj Cieński, inż. Mastalski z żoną i synem, inż. Kujawski z żoną, żona lotnika Kubinowa z córeczkami w wieku cztery i dwa lata, Kuberczykowa z synem, Romanowska, dr Góra, Urzędowska siostra ppłk. aud. Urzędowskiego i szereg innych osób, których nazwisk dziś nie pamiętam.

Wstrząsające wrażenie robiły mijane pociągi wypełnione ludnością polską, a widok głów dzieci wyglądających przez uchylone okna przejmował uczuciem bezsilnej rozpaczy. A przecież wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy z poniewierki, która nas czekała. Po dwóch dniach dano nam pierwszy posiłek. Jedzenie otrzymywaliśmy raz dziennie, o różnych porach dnia i nocy.

1 maja wyładowano nas na stacji kolejowej Dżengis-Tobe, w Kazachstanie, semipatałyńskiej *obłasti*, skąd rozwożono [nas] ciężarowymi autami w głąb kraju, po wsiach, kołchozach i sowchozach. Wraz z grupą około 70 osób umieszczono mnie w kołchozie Bustagacz (żarmiński rejon). Kołchoz czysto kazacki [kazachski], bardzo nędzny, składał się z kilkudziesięciu lepianek. Położenie nie najgorsze, bo zaledwie 30 km od stacji, pięć do sześciu od rejonowej wsi Georgiewka, dziewięć od drugiego większego osiedla Akżał. Ulokowano nas z trudem, przeważnie wspólnie z tubylczą ludnością, lub w stajniach, zbędnych pomieszczeniach itp. Wraz z matką i trzema paniami zamieszkałyśmy w ubikacji będącej stajnią, z której przy nas wyprowadzono owce i barany. Była to nora o malutkim oknie, bez podłogi (ubita ziemia), przepojona odorem odchodów bydlęcych, bardzo wilgotna, siedlisko nieprawdopodobnej ilości robactwa: karakanów, stonóg i pcheł. Zwłaszcza pchły były prawdziwą klęską. Na jednym legowisku bito 50 – 60 pcheł bez widocznego rezultatu. Sprzętów nie posiadałyśmy. Spało się na wilgotnej ziemi, walizki zastępowały stoły i krzesła.

W dwa dni po przyjeździe wyznaczono nas do prac w kołchozie. Praca *czarnorobocza*: w stajniach, oborach, przy wyrabianiu tzw. kiziaku, to jest opału z odchodów bydlęcych, kopaniu rowów nawadniających, mazaniu gliną ścian domów, robotach polnych jak plewienie, pomocnicze prace przy traktorach itp. Przepracowane *trudodni* i wykonane normy zapisywano. Wypłatę zarobków pozostawiano do rozrachunku z końcem roku. Nie mieliśmy więc zarobków efektywnych, z których można by się utrzymać. A żyć trzeba! Musieliśmy płacić komorne, za naszą norę 40 rubli miesięcznie, kupować żywność, bo o wyżywienie staraliśmy się sami, chleba nam nie przydzielano. Utrzymywaliśmy się z zapasów przywiezionych z domu, ze sprzedaży i zamiany rzeczy i z pieniędzy przesyłanych przez rodziny pozostałe w kraju. Stopa życiowa niesłychanie niska, choć początkowo nie zaznaliśmy głodu i mrozu, jak później w zimie. Dotkliwie odczuwało się brak chleba, który zastępowały placki kozackie, pieczone prymitywnie, na sposób miejscowy. Skrzętnie zbierane na stepach odchody baranów stanowiły opał. Gotowaliśmy na kamieniach ustawianych w tym celu. Swoboda przemieszczania się poza rejonem kołchozu ograniczona, początkowo tylko za zezwoleniem naczelnika. Po kilku miesiącach stosunki ułożyły się o tyle, iż bez większych trudności można było udawać się do pobliskich kołchozów, Georgiewki i Akżału; wydalanie się na dłuższy czas czy też w dalszym promieniu – do czasu amnestii – prawie niemożliwe.

Ustosunkowanie władz rządzących w kołchozie bezwzględne, z odcieniem szyderczym. Młodsza generacja ludności miejscowej nieprzychylna, dawała odczuwać swoją rzekomą

wyższość, drwiąc przy każdej sposobności z „panów", „pańskiej Polski", popisywała się doktrynerstwem antyreligijnym i komunistycznym. Starsi, pamiętający inne czasy, zdając sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy, patrzyli na nas z pewną sympatią i współczuciem, jednak w wyzyskiwaniu i ograbianiu nas z resztek mienia dorównywali sobie wszyscy w jednakiej mierze.

Z końcem maja wysłano dziewięć osób do pracy na fermie. Byłam w ich liczbie. Ferma położona w górach, oddalona o kilka kilometrów od kołchozu, oprócz trzech małych lepianek nie miała żadnych możliwych pomieszczeń. Toteż ulokowano nas w na pół rozwalonej stajni bez drzwi i okien. Praca: wydobywanie, ładowanie i przewożenie kamienia, wyrób kiziaku. Warunki pracy i bytowania bardzo ciężkie. Prymitywne narzędzia i brak rękawic w krótkim czasie doprowadziły do tego, że dłonie stały się jednym krwawym pęcherzem. Popękana skóra i pokaleczenia utrudniały robotę. Nie żywiono nas. Gotowaliśmy we własnym zakresie i własnym przemysłem walczyliśmy z brakiem produktów, bo z wyjątkiem mleka koziego niczego kupić nie można było. Marne odżywianie, niewygody, wyczerpująca praca fizyczna w skwarze słonecznym i pyle kamiennym zaczęły gwałtownie podkopywać nasze siły. W tym czasie, pracując poranionymi rękoma przy kiziaku, zaraziłam się od chorych baranów brucelozą. Gdy upadek sił stał się widoczny, odesłano mnie do kołchozu. Pracowałam jeszcze jeden czy dwa dni przy plewieniu prosa, do chwili, gdy z wyczerpania zemdlałam przy pracy w polu, co położyło ostatecznie kres mojej krótkiej zresztą karierze pracownika kołchozowego, a zapoczątkowało okres wędrówki po szpitalach sowieckich. Naczelnik kołchozu odmówił dostarczenia wozu dla przewiezienia mnie do szpitala. Również prywatnie za zapłatą – z jakichś niezrozumiałych przyczyn – nie można było otrzymać żadnej podwody. Przypadkowo przejeżdżającym do Akżału autem ciężarowym dostałam się do tamtejszego szpitala, gdzie otoczono mnie staraniem zgoła nieoczekiwanym. Jedyną plagą zatruwającą pobyt były pluskwy. Brak środków do przeprowadzenia analizy i odpowiednich lekarstw powodowały duże trudności w leczeniu. Cały przebieg choroby, wysoka temperatura powodująca zamroczenia i systematyczną utratę przytomności w pewnych godzinach, skłoniły lekarza do skierowania mnie na leczenie do szpitala w Georgiewce, gdzie dysponowano odpowiednimi środkami leczniczymi. Drogę z Akżału do kołchozu (9 km) odbyłam pieszo, nie miałam dość pieniędzy na wynajęcie wozu. W kołchozie przeleżałam dwa tygodnie w oczekiwaniu na powrót z urlopu siostry – specjalistki w analizach brucelozowych, następne dwa tygodnie w oczekiwaniu na sprowadzenie zastrzyków.

W Georgiewce nie było takiego życzliwego ustosunkowania się jak w Akżale. Lekarz był bezwzględny, odnosił się wrogo i złośliwie, szykanując Polaków. Ten wzgląd, jak również prymitywne warunki w szpitalu i zapluskwienie skłoniły mnie do dochodzenia na zastrzyki. Wolałam to, aniżeli stały pobyt w atmosferze ciągłego upokarzania. Leczenie było niedbałe. W okresie dwu i pół miesiąca dano mi zaledwie trzy zastrzyki. Jeśli doda się do tego marny sposób odżywiania, staje się zrozumiałe, że choroba nie tylko nie ustępowała, lecz przybierała charakter przewlekły, doprowadzając do scherlenia organizmu. Tak dociągnęłam do października. Słoty jesienne utrudniały dojście do szpitala, wobec czego NKWD zgodziło się na przeniesienie moje i matki do Georgiewki. Nie była to zbyt wielka koncesja, gdyż w tym czasie nie rokowano mi wyzdrowienia, było to raczej wyczekiwanie końca.

W Georgiewce to samo nastawienie władz i ludności co w kołchozie. Lepsze warunki egzystencji, zarówno mieszkaniowe, jak i wyżywienia. Wzrastająca drożyzna, niemożność zarobkowania, spadek popytu i cen za nasze rzeczy – odbiły się katastrofalnie na naszych finansach. Wraz z zimą przyszła troska o opał, którego ceny były zawrotne. Zima upłynęła pod znakiem głodu. Były okresy, w których jedynym naszym pożywieniem była zupa z buraków pastewnych i kilku listków kapusty. Chleba nie miałyśmy. Sytuację pogarszały gwałtowne zamiecie śnieżne trwające całymi tygodniami, które przerywały kontakt ze stacją kolejową i udaremniały wszelkie możliwości dostawy paczek żywnościowych wysyłanych z domu. Był to najcięższy okres na zesłaniu. Stan mojego zdrowia pogarszał się, wystąpiły komplikacje stawowe i na tle zapalenia nerwu w prawej ręce. Straciłam władzę w jednej ręce, drugą z trudnością poruszałam. Gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności i zmiana na stanowisku lekarza szpitala, którego kierownictwo objęła zdolna młoda lekarka, człowiek niezwykle porządny, los mój byłby przypieczętowany. W ciągu marca i kwietnia przeprowadzono intensywne leczenie, bo z przyjazdem lekarki dziwnym zbiegiem okoliczności lekarstwa i zastrzyki znalazły się w dostatecznej ilości. Co więcej, NKWD zezwala na wysłanie mnie na pewien czas do Semipałatyńska do kliniki chorób brucelozowych.

Semipałatyńsk – znowu polepszenie stopy życiowej. Wobec braku miejsca w klinice zezwolono na ulokowanie się w sąsiedztwie w domu prywatnym, przy czym na odnośne zaświadczenie lekarskie NKWD zezwala na pobyt trzymiesięczny. Przyznano [nam] również rację chleba. Stosunki w klinice nie są całkowicie dobre. Niższy personel, tzw. *medsiestry* i sanitariuszki są życzliwe, nawet okazują pewną dozę serdeczności. Inaczej ustosunkowuje

się lekarz. Jakkolwiek odnosi się uprzejmie, uważa iż skoro Polacy z winy swojego *gosudarstwa* popadli w *rabstwo*, winni być traktowani jak *raby* – przydzielani do pracy *oczień ciażowej* [*tiażołej*] *i griaznej*, a dopiero kiedyś powinno im dać się jakąś lepszą, lżejszą pracę. Wygłosił te poglądy – doskonale charakteryzujące zapatrywania i plany w stosunku do nas – gdy jedna ze sióstr szpitalnych w mojej obecności zaproponowała przyjęcie mnie do pomocniczej pracy w klinice. Znamienne jest, iż lekarz znający doskonale mój stan zdrowia, opiniował mnie jako nienadającą się w ogóle przez długi jeszcze czas nie tylko do ciężkiej, ale nieco cięższej roboty. Mimo możności dania mi zajęcia i zarobkowania, fakt że jestem Polką wystarczał na skazanie mnie i mnie podobnych zesłańców na warunki egzystencji równające się powolnej zagładzie. Takie traktowanie nas, połączone z mentorstwem upokarzającym naszą dumę narodową, a niejednokrotnie godność człowieczą – były naszym chlebem codziennym. Bez przesady mogę stwierdzić, iż udręki psychiczne ciągle zadawane nam w formie nieraz bardzo brutalnej, były równie dotkliwe jak głód i nędza naszego bytowania.

W ciągu trwania kuracji, a raczej pod jej koniec, nastąpiła amnestia, co pozwoliło mi na pozostanie w Semipałatyńsku. Pracowałam z p. Zofią Sołtysikową nad zorganizowaniem delegatury w Semipałatyńsku, a w listopadzie 1941 roku zgłosiłam się do Pomocniczej Służby Kobiet w Buzułuku, gdzie zostałam przyjęta i przydzielona do Sądu Polowego przy dowództwie Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR.

Z osób przebywających w Bustagacz lub Georgiewce zmarli w ZSSR: Kuberczykowa – żona majora w stanie spoczynku, Zimmerowie, córka przodownika Policji Państwowej, matka Zofii Banasiowej, żony inspektora Policji Państwowej, Celina Kowalewska, Mikołaj Cieński, prof. Rafałowski, [nieczytelne]-letnia Hanka Szoskówna [?] (o czym tylko słyszałam), Maria Przystalska, Jadwiga Przystalska (również wiem z relacji znajomych).